**Ostatni**

**S.L.**

**Szkoła:**

IX Liceum Ogólnokształcące w Bydgoszczy,

ul. Zofii Nałkowskiej 9

85-866 Bydgoszcz

Tel.: 52 361 08 85

**12 Kwietnia (poniedziałek), 6:45, Hamburg**

Klaus Schenker kończył ostatnie okrążenie wokół boiska piłkarskiego. Drużyny futbolowe cotygodniowo rozgrywały tutaj lokalne derby, kluby sportowe organizowały spotkania, a kadra wykładowcza żegnała i witała starych oraz nowych studentów. Oczywiście o tej porze roku i dnia stało puste i zimne. Z ust Schenkera wychodziło ciepłe powietrze, które w jednej chwili zamieniało się w parę, ulatującą wysoko w niebo. Temperatura nie sięgała nawet tych słabych dziesięciu stopni Celsjusza. Studenci dopiero wstawali z łóżek zaspani, a niektórzy wcale się nie kładli, ucząc się do końcowych egzaminów, które czyhały tuż za rogiem.

Schenker, wysoki blondyn o ciemnoniebieskich oczach, po trzydziestce i zmierzwioną czupryną na lodowatej od chłodu głowie, kończył swój codzienny rytuał wstawania z łóżka o piątej, skończenia porannej toalety do piątej trzydzieści, zjedzenia mało obfitego śniadania do szóstej i przebiegnięcia dziesięciu okrążeń wokół całego boiska, czyli dobre pięć kilometrów niestrudzonego biegu. Jeżeli chce się utrzymać dobrą sylwetkę, nadal podobać się kobietom i być zadowolonym z życia, poranne ćwiczenia to podstawa – choć ze wszystkich pracowników Uniwersytetu w Hamburgu taki tok myślenia przedstawiał jedynie Schenker. Zawsze powtarzał: *Zdrowo wstajesz, zdrowo kończysz dzień*.

Wszystkie znaki na niebie (zamglonym i niewyraźnym) zapowiadały kolejny, zwyczajny dzień w raju – wykłady, przerwa na lunch, wykłady, kawa, wyjście na miasto, zabawienie się (może nawet przewiezienie swojej *zabawy* na kampus, do mieszkania) i pójście spać, by kolejny dzień rozpocząć i skończyć w podobny sposób. Cóż, jeszcze nie wiedział, że jutrzejszy dzień nie zacznie się tak samo, a na pewno nie skończy tak, jak skończył się poprzedni. Nikt nie wiedział.

**12 kwietnia (poniedziałek), 8:36, Tuluza**

Nad Institut Polytechnique des Sciences Avancées w Tuluzie skłębiły się szarawe, pokłębione powłoki, które nie zapowiadały niczego dobrego. Piwne oczy Claudette Beauharnais spoglądały nad pochmurne niebo niepewnie, ponieważ dwa dni temu potężna ulewa niemal zalała całe miasto, a ona sama utknęła w kilkugodzinnym korku z kampusu politechniki do mieszkania w centrum południowo – wschodniej dzielnicy, nieopodal Narbonne. *Oby tym razem nie padało*, modliła się w duchu, przeklinając ostatnie kilka dni i modląc się o dobrą pogodę na kilka następnych. Tym bardziej, że zamierzała z chłopakiem wybrać się na weekend do Paryża, odwiedzić jego dziadków i wstąpić do ich ulubionej kafejki przy Polach Elizejskich.

Na razie wyjazd pozostawał w sferze jeszcze nieosiągalnych marzeń, a ten stan rzeczy miał się zmienić za cztery dni. Do tego czasu musiała jeszcze wytrwać i wytrzymać cały tydzień nudnych i nigdy niekończących się zajęć z robotyki, programów komputerowych i nanotechnologii stosowanej. Jedyne, co pozwalało jej oderwać myśli od zbliżającego się wyjazdu oraz aury śmiercionośnej nudy na kampusie, były zajęcia z profesorem Ghourne, który nie tyle imponował młodej Claudette, jak ją intrygował. Jego badania naprawdę wydawały się rewolucyjne, a algebraiczny system całkowania binarnego w zastosowaniu programu komputerowego wydawały się wręcz rewolucyjne. Dzisiaj, od osiemnastej do dwudziestej drugiej wraz z ośmiorgiem innych studentów z Instytutu, miała asystować i, jak tylko potrafiła, dorzucać własne pomysły do genialnego kotła idei profesora Ghourne’a.

Jego program był czymś więcej niż tylko programem komputerowym opartym na kodzie zero jedynkowym. To istna rebelia naukowa, której przeznaczeniem było zmienić świat na lepsze. Claudette, rozmarzona i lewitująca wysoko nad dachem sali numer 267, gdzie odbywał się wykład na temat geopolityki *lokalnej* w zastosowaniu administracyjnym, wyobrażała sobie to wszystko, co mogło się stać po wdrożeniu najnowocześniejszego systemu kontroli w historii świata. Kontroli wszystkiego, dosłownie każdego, najdrobniejszego szczegółu ludzkiego życia: od wahań giełdy rynkowej, przez karty pacjentów i historie ich chorób, system lecznictwa, ochrony pól uprawnych, ilości zastosowanych barwników w żywności, po rozmiar aparatów ortodontycznych, przypomnienie o zapłacenie rachunków za prąd i czesne do szkoły, kończąc na zbilansowanej diecie każdego człowieka na ziemi i kontroli jego poziomu LDL czy stężeń enzymu MAO. A ona, Claudette Beauharnais, miała mieć w tym swój skromny udział. Matko!

**13 kwietnia (wtorek), 12:43, McLean, Virginia**

Agent Christopher Brown przeszedł żwawym krokiem przez główny hall i wszedł do jednej z pięciu wind w lewym skrzydle głównego budynku, instynktownie mierząc sobie puls na lewym nadgarstku. Bał się jak cholera, w kabinie panowała okropna duchota, a jeszcze świeże słowa usłyszane dwie godziny wcześniej gruchotały kości czaszki z imponującą siłą. Był doświadczonym agentem Centralnej Agencji Wywiadowczej, mając przed sobą jedynie dwa lata służby przed odejściem na zasłużony spoczynek. Nie mógł uwierzyć w to, czego dowiedział się przed paroma godzinami, zwyczajnie odpierał fakty najgorszym argumentem, jaki istniał – *to niemożliwe*.

Winda zatrzymała się na siódmym piętrze, na sto trzydziestym metrze poniżej poziomu morza, otwierając drzwi na słabo oświetlony, mocno przyciemniony i długi korytarz, wykuty bezpośrednio w skale pod ojczystą ziemią jego ukochanego kraju. Brown wyszedł mało pewnym krokiem, sprawdzając, czy nie zgubił telefonu i portfela; to był taki jego tik, którego nie potrafił się pozbyć. Puls miał przyspieszony, oddech lekko nerwowy i niezrównoważony, kropelki potu zraszały wysokie czoło i spływały na lekko garbaty nos.

Stanął przed mosiężnymi drzwiami, na których nie widniał ani numer pokoju, ani nazwisko pracownika. Pozbawione duszy i wyrazu drzwi postawione głęboko pod amerykańską ziemią, za którymi czekało trzech ludzi gotowych wysłuchać tego, czego dowiedział się Brown. Jednym z nich był jego bezpośredni przełożony.

Zapukał.

**13 kwietnia (wtorek), 15:35, Almere**

Te same informacje, które Brown przekazał dowództwu CIA, Luuk Visser sprzedawał wojsku holenderskiemu, dla którego pracował od ponad siedemnastu lat. Mężczyzna w średnim wieku, przystojny i niezbyt wysoki, miał tremę jak nigdy w życiu, rzetelnie zdając raport z tego, co sam wiedział od niedawna.

- Rząd francuski od dawna śledził naukowe poczynania profesora Ghourne’a. Spodziewali się, że to, nad czym pracuje, sprawi, że Francja na nowo uzyska status supermocarstwa. Niestety, teraz i oni zdali sobie sprawę z tego, że dzieło profesora stanie się węglem pod zagładę naszego świata, a nie złotym środkiem nowego millenium.

Jansen, generał sił lądowych, oddelegowany do miasta Nijmegen, słuchał trwożnie tego, co Visser mu przekazywał. Najgorsze jeszcze nie zostało wypowiedziane.

- Od dawna planowano zabójstwo Ghourne’a, lecz wiele agencji zgodziło się niemal unisono, że to przysporzyłoby jeszcze więcej problemów. Między innymi to, iż fala krytyki i niesprawdzonych pogłosek mogłaby doprowadzić do rozgłosu dzieła profesora, o którym wiedziało i tak za wiele ludzi. Niestety, agencja wywiadowcza Niemiec odkryła coś jeszcze.

- Co takiego? – zapytał podenerwowany Jansen.

Visser spojrzał na przełożonego niepewnie, jakby bał się, czy to nie zabije tego człowieka w zaawansowanym wieku. Sam również odczuwał lęk na myśl, że to, co przez cały ten czas kłębiło mu się w głowie, zostanie wypowiedziane na głos.

- Program został podłączony do wewnętrznej sieci w Institut Polytechnique des Sciences Avancées w Tuluzie. Wywiad francuski jedynie potwierdził tę wiadomość.

Jansen zbladł na ciele i musiał przytrzymać się blatu biurka, by nie upaść.

- Przecież to tylko sieć wewnętrzna. Nie jest to równoznaczne z przedostaniem się do sieci globalnej, on – line?

Visser zdusił strach w gardle, odchrząknął i odpowiedział najspokojniej, jak tylko mógł; choć spokój w jego sercu już dawno temu został zmącony.

- To prawda, lecz Ghourne zabezpieczył się na wypadek, gdyby coś mu się stało. Pracuje z nim dziewięciu najlepszych i najwybitniejszych studentów z Tuluzy. To również ich projekt, wiele pomysłów pochodzi od nich. Wiemy, że przynajmniej dwóch z nich ma dostęp do hasła aktywacyjnego, który ma wprowadzić program do sieci globalnej. Jeżeli się tak stanie, to będzie koniec.

**14 kwietnia (środa), 4:34, Hamburg**

Schenker dostał telefon z uniwersytetu w Brugii, od starego przyjaciela, jeszcze z czasów studenckich. Opowiedział mu o czymś, po czym włosy mu na głowie stanęły dęba, a sam postarzał się o dobre kilkanaście lat. Jeszcze zanim się rozłączył, ostrzegł przyjaciela:

- Pamiętaj, że nie wiesz tego ode mnie. Ja się dowiedziałem od wykładowcy z Tuluzy; to moja dawna dziewczyna, rozmawiamy czasami ze sobą. Powiedziała, żebym nikomu o tym nie rozpowiadał, ale sam wiesz, nie mogłem tobie tego nie powiedzieć. Jesteś dla mnie jak brat.

Po tych słowach się rozłączył, a Schenker stał w osłupieniu jeszcze przez dobre dziesięć minut, nie mogąc do siebie dojść i ściskając naprężoną ręką plastikową obudowę słuchawki telefonu. Był informatykiem i fizykiem zajmującym się przewodnością i łącznością, ale nigdy w życiu nie przypuszczałby, aby tak poroniony pomysł mógł pojawić się w głowie jakiegokolwiek człowieka. To czysto niemoralne, pozbawione podstaw etycznych, krótkowzroczne.

**14 kwietnia (środa), 14:47, Tuluza**

Profesor Ghourne siedział przed ekranem komputera od piętnastu godzin. Miał czterdzieści dwa lata, w środowisku informatycznym uznawany za geniusza oraz innowatora, czuł ucisk na kręgosłupie. I nie był to tylko ból fizyczny i zesztywnienie całego aparatu mięśniowo – więzadłowego nadwyrężonego kilkunastogodzinną krucjatą przez pustkowie dwucyfrowych kodów, ale ból psychiczny. Czuł, że chwila glorii nadchodzi. Gonił za czasem, któremu mu brakowało. Siłował się z naturą człowieka, która przeciwstawiała mu się z największym oporem. Choć genialny, uważany powszechnie za niebezpiecznego głupca, chcącego wywołać rewolucję, która rewolucyjna, przynajmniej na razie, wydawała się tylko jego najbliższym współpracownikom – studentom. Reszcie społeczeństwa uniwersyteckiego jego idea, choć znana tylko poglądowo (ze względów bezpieczeństwa i zachowania ostrożności), wyglądała na desperacką podróż w dziecięce marzenia człowieka, który nie potrafił znaleźć rozwiązania dla swych zdolności. Wszyscy kiwali z zachwytem głowami, w głowach tych mając jedynie popiół ze słów przed chwilą usłyszanych. Nikt nie brał tego wszystkiego na poważnie. Niektórzy, lecz garstka jedynie, postrzegała badania Ghourne’a za ryzykowne – dla niego samego.

Jednak nikt, prócz tej garstki wybranych, nie miał zielonego pojęcia, o co tak naprawdę chodzi. Tego nie należało szufladkować do kategorii *Rewolucja*. Rewolucyjny mógł być Bonaparte, rewolucyjni mogli być amerykańscy idioci wywołujący beznadziejną wojnę domową, rewolucyjne mogą być kostki mydła z odurzającym zapachem oczyszczającym przewody nosowe. Jego pomysł, jego dzieło… nie, to wychodziło poza wszelkie ramy definicji.

Wszystko było już niemal gotowe. Teraz wystarczyło nanieść jedynie drobne poprawki do projektu, oszlifować go, jedynym słowem udoskonalić. Od kilku tygodni Ghourne odczuwał strach. Nie do końca wiedział, dlaczego, ale bał się czegoś… nieuniknionego. Choć hasło uruchomienia składało się z pięćdziesięciu znaków podzielonych seriami między swoich współpracowników, z których każdy znał jedynie swoją serię, to coś nie dawało mu spokoju. Jakaś niewymówiona cząstka jego duszy, światło dawnych dni, skrawek czegoś nietykalnego, ale rzeczywistego; jedni nazywają to szóstym zmysłem, inni przeczuciem, jeszcze paru nawiedzonych alarmem duszy. Czy to anioły biły w dzwony? Czy to czyste niewyspanie? Żadna opcja nie mogła zostać całkowicie wykluczona, żadna teza odrzucona bez konkretnych dowodów i wniosków z nich wyciągniętych.

Wstał od biurka, aby na moment rozprostować kości, które w tym wieku powinny być jeszcze w świetnej formie. Obiecał sobie, że zadba o siebie, kiedy tylko skończy swoje badania. Spojrzał na kawę w kubku, którą zaparzył sobie sześć godzin temu. Dziwny osad unosił się na powierzchni. Zmarszczył brwi – był przekonany, że inaczej ją ustawił. Miał pamięć fotograficzną i potrafił zapamiętać dosłownie każdy szczegół obrazów, które przetwarzał jego mózg. Ucho tego kubka ustawione było na południowo – zachodni róg sali. Teraz obrócone było o mniej więcej dwadzieścia stopni na wschód. Kawę zaparzał sobie po tym, jak ostatnia osoba pracująca w laboratorium poszła do domu. Od tamtego czasu nikt nie wchodził ani nie wychodził z pomieszczenia.

Komputer, przy którym pracował, wydał komunikat: **Potrzebna skalaryzacja parametryczna wielorządowa na linii x/y2345**. Wraz z komunikatem wydobył się delikatny pisk elektronicznego urządzenia. Komunikat nie zaskoczył profesora. Skalaryzacja odbywała się średnio co dwie godziny. Zapomniał to zrobić wcześniej. Ucho tego przeklętego kubka nie dawało mu spokoju. Laboratorium nie posiadało systemów wentylacyjnych przepływowych, drzwi pozostawały pozamykane, trzęsienie ziemi raczej by zauważył. Nie potrafił zidentyfikować czynnika możliwego do zaakceptowania jako prawdopodobnego. Komputer ponownie przypomniał o swoim istnieniu tym razem dłuższym piskiem.

Za plecami Ghourne’a wyrosła postać wysokiego mężczyzny trzymającego w ręce krótki nóż do cięcia papieru. Nie miał maski na twarzy. Za to miał założone lekarskie rękawiczki. Profesor usłyszał oddech człowieka za plecami. Nie zdążył zareagować.

Silna, umięśniona lewa ręka chwyciła go za szyję, a prawa poderżnęła głębokim cięciem miękkie gardło. Krew wylała się na podłogę, na którą zwaliło się martwe ciało Ghourne’a.

**14 kwietnia (środa), 19:15, McLean, Virginia**

Kiedy Jansen myślał, że wieści Vissera są zatrważające, aż ciekawość bierze, co pomyślał przełożony Browna, kiedy ten drugi raz tego samego dnia zdawał raport, lecz tym razem pośrednio, uzyskany od agenta środowiskowego z Tuluzy, który siedział tam już od ponad pół roku.

- Jak to nie żyje? – zapytał bardziej samego siebie Rochester, pułkownik sił lądowych, trzeci w hierarchii w dowództwie Centralnej Agencji Wywiadowczej. – Przecież to… niemożliwe.

- Jego śmierć jest bez znaczenia – skwitował ostatnie wydarzenia Brown.

- Bez znaczenia? – w Rochestera wdarła się furia. – Śmierć tego faceta jest bez znaczenia? Myślisz, że to przejdzie bez echa? Że teraz wszystko się ułoży? Nie, coś ci powiem. Teraz wszystko dopiero się rozpierdoli. A ty śmiesz gadać, że to jest bez znaczenia? – jego twarz cała poczerwieniała.

- Tak, uważam, że to bez znaczenia – Brown wydawał się niewzruszony wybuchem despotycznego przełożonego. Wiedział, że śmierć Ghourne’a jest niczym w porównaniu do tego, co jeszcze miał do powiedzenia.

- Jesteś bezczelny, Brown – skwitował Rochester. – Chyba nie chcesz znaleźć się na krawężniku, co? W każdej chwili mogę tobie to załatwić, jeżeli tylko nie zamkniesz tego paskudnego ryja.

- Nie zamknę go, bo została jeszcze jedna sprawa – ty pierdolony dupku, pomyślał zirytowany, sfrustrowany, zdenerwowany i przerażony w jednym czasie Brown.

Rochester zmienił nastawienie. Wiedział doskonale, że tylko wieści gorsze od poprzednich mogły uzbroić tego gnojka w taką pewność siebie, wręcz pogardę wobec niego. Dopiero teraz zaczął się bać.

Wtopił spojrzenie w zamroczone oczy Browna. Chciał usłyszeć to, cokolwiek to było, teraz.

- Co takiego? – zapytał, siląc się na sfabrykowany spokój.

- Wewnętrzna sieć uniwersytetu w Tuluzie miała dodatkowe hasła dostępu, o których nie wiedzieliśmy. Ukryte znaki kodowane. Taka wiadomość, którą można przeczytać, ale przeczyta ją tylko ten, kto w ogóle wie, że takowe istnieje. To tak jakby listonosz wrzucił list do niewidzialnej skrzynki, a my nawet nie wiemy, że ona gdzieś jest.

Rochester patrzył na Browna jak nauczyciel na ucznia, który sknocił banalne zadanie na teście.

- Chcesz mi powiedzieć, że przeoczyliście coś, czego przeoczyć nie powinniście?

Brown pokręcił głową.

- To nie tak. Tych haseł dostępu nie ma w kodzie źródłowym programu. One są ukryte głębiej, w tak zwanym szyfrowaniu zamkniętym. Ma do niego dostęp tylko ten, tylko ten – podkreślił dobitnie i wyraźnie – kto ten program napisał. Nie mogliśmy wiedzieć, nawet gdybyśmy się domyślili, to i tak nie istniałaby szansa na sprawdzenie domysłów. To po prostu niemożliwe.

- Mów dalej.

Brown nie chciał mówić. Nie miał ochoty, wolał wyjść i już nigdy tutaj nie wrócić. To już nie była kwestia służbowa. Wiadomość, jaką miał do przekazania, miała dalekosiężne skutki, nie do oszacowania. Tu już nie chodziło o wywiad, ale o przyszłość całego świata, o jego przyszłość, o przyszłość Browna.

- W jednym z tych haseł zapisana była informacja. Brak skalaryzacji programu, jednorazowo, skutkuje zwolnieniem blokady.

Rochester zesztywniał. Teraz Brown już nie był jedyną osobą w tym pomieszczeniu, która chciała uciekać, gdzie pieprz rośnie. Rochester przypominał więźnia stojącego przed podestem sędziowskim i dowiadującym się o wyroku śmierci – egzekucji.

- Co masz na myśli?

Brown zamrugał nerwowo.

- Wpuszczenie programu do sieci – zatrzymał się, a po chwili dodał - światowej.

**15 kwietnia (czwartek), *Świat***

Program profesora Ghourne’a zaprojektowany był tak, że każdy element składowy mógł powielać się w nieskończoność, a każda kopia każdej sekcji odpowiadała za łączenie się z konkretną bazą danych, konkretnym systemem wewnętrznym największych banków, przedsiębiorstw, korporacji, spółek, domów handlowych, rynków giełdowych, a nawet kanałów łączących poszczególne systemy, tak, że każda ważna baza internetowa świata z każdego kraju, miasta i wsi połączona była z kolejną, a ta z następną, niczym synapsy w mózgu; kody były komórkami nerwowymi, ale nie byle jakimi. To hybrydy komórek nerwowych i wirusów najnowszej generacji w wersji programowanej, bez większych skaz i niedociągnięć, a co najważniejsze… z plastyczną inteligencją twórczą. Program zachowywał się jak sztuczna inteligencja, ucząca się samodzielnie, analizująca dane, wszystkie dane, zbierając je w jedną całość i prognozując następstwa każdych ważnych wydarzeń: od zamieszek ulicznych, poprzez napady z bronią w ręku, aż po uszkodzone wiertło na platformie wydobywczej ropy naftowej na środku Pacyfiku. Ten program był wyjątkowy, niepowtarzalny, idealny. A największą niespodziankę profesor zostawił na sam koniec. Program był nie do wyśledzenia, żadna z jego kopii nie pozostawiała śladu swojej obecności. To złodziej z Sherwood w białych rękawiczkach i błyskotliwym sztucznym umyśle.

Profesor niestety nie przewidział skutków działania programu. Jego pierwotnym zamierzeniem było zbawienie świata, za wszelką cenę, zrewolucjonizowanie tego, co mogło ulec zmianie. Udoskonalenie błędów ludzkości – całkowita ich eliminacja.

Program opanował główne systemy informatyczne na całym świecie.

**27 kwietnia (wtorek), *świat***

Wywiad amerykański wydał oświadczenie 18 kwietnia. Jako pierwsza doświadczyła skutków Francja. Ich aparat giełdowy oparty był na specjalnym kodzie znakowanym, który przyciągnął jedną z mocniejszych kopii programu. Informacje zaczęły gromadzić się w  chmurze rozpisanej przez samo oprogramowanie. Lawina zdarzeń potoczyła się zboczem za wysokiej góry do pokonania.

Program w swej naturze, który miał pomagać, a nie szkodzić, zaczął rozsyłać informacje o stanie ekonomicznym kraju do baz systemów innych państw, aby móc wyregulować zadłużenie narodu opiewające na kilkanaście miliardów euro.

W jeden dzień.

Zostały przeciążone systemy 89 gospodarek, w tym Chin, Rosji, Stanów Zjednoczonych, Argentyny, Finlandii i Portugalii. Notowanie giełdowe spadły niemal do zero. Budżet państw zubożał łącznie o kilkaset bilionów dolarów. Oprogramowanie kontrolowało osiemdziesiąt siedem procent światowych obrotów złota. Jego celem było wyrównanie przychodów i wydatków na szczeblu rządowym w niemal każdej sferze działalności polityczno – gospodarczej. A najstraszliwszym zdawał się fakt, iż kod źródłowy w praktyce… nie istniał. Nikt nie mógł niczego kontrolować. Było już za późno.

**30 kwietnia (piątek), *świat***

Zamieszki wybuchły niemal wszędzie. Policja została nieoficjalnie rozwiązana. Jedyną jednostką obronną pozostawało wojsko, które funkcjonowało sprawnie tylko w pięciu krajach: na Filipinach, Na Malcie, w Hondurasie, Chile oraz Danii. Wybuchła rewolucja cywilna. Ludzie walczyli już nie o dobre życie, lecz o życie. Procent dokonywanych mordów wzrósł o kilkaset procent w zaledwie dwa tygodnie. Życie takie, jaki było znane do tej pory, stało się historią.

Istniało kilka doniesień z kilku różnych stron świata o maszynach o ludzkich twarzach, ale bez mimiki, bez ludzkiego wyrazu twarzy, zbudowane z nanowęglowego szkieletu powlekanego dotąd niespotykanym stopem. Garstka ludzi dowierzała tym beznadziejnie wierutnym bzdurom. Strach i paranoja wdzierały się w serca każdego człowieka. Jedni mówili o klęsce, drudzy o nieokreślonej bitwie przeciwko… komu? Jeszcze inny cicho cytowali wersy Apokalipsy świętego Jana. Poszła plotka. Straszna plotka.

Mówili: oto wybuchła trzecia wojna światowa.

**14 czerwca (sobota), okolice Hamburga, 03:46**

Nie widział jej. Szukał wzrokiem w ciemnościach, ale mrok piwnicy ścierał się z martwą duszą głuchej nocy, odwiecznego wartownika stojącego na straży ludzkiego strachu. Teraz już spotęgowanego po stokroć.

Różnie ich nazywali. Jeźdźcy Apokalipsy, Eindringlinge (lub w skrócie Edinge)[[1]](#footnote-1), stalowe bestie lub też zwyczajowo Kopie. Choć to ostatnie określenie wyszło z głowy Klausa, który domyślał się, co stało za zagładą ich świata. Starał się nie myśleć w tych kategoriach. W tych kategoriach nie myślał nikt, bo nikt tych kategorii nigdy wcześniej nie znał. Na pewno nie z filmów czy książek…

… Potknął się (Kurwa, rzucił w eter, omal nie uderzając głową o ostrą krawędź ogromnego gabro) o wystający *drut komunikacyjny*…

Te historie w nich zawarte kłamały. Pragnęli wrócić do dawnego życia, do tego, co oni wszyscy mieli. Do rodzin, które stracili. Do pracy, której nie było i nigdy już nie będzie. Klaus marzył o nauczaniu, o powrocie do wiecznie studenckiego życia, do treningów, do podrywania panienek, do niezobowiązującego seksu, do spotkań z przyjaciółmi, do tego, co powinien mieć! Do tego! Lecz to obróciło się w historię, której karty zapisywane były codziennymi zgonami, agonią, rozpaczą, gniciem, łzami i walką o przetrwanie. Może kiedyś wierzył w Boga. W cokolwiek. Teraz już nie wierzył w nic. Stał się bańką mydlaną unoszącą się w gorącym od oddechu śmierci powietrzu, zatęchłym od smrodu rozkładanych ciał…

… Wybrał drugie zejście do szybu piwnicznego sprzed lat dziewięćdziesiątych; matko! Przyszło im wszystkim, tej garstce żywych, lecz też na wpół martwych, chować się w pierdolonych podziemiach…

Moczu, wymiocin i – nie chciał o tym teraz myśleć. Musiał ją odszukać. Teraz miał już tylko ją. Znali się krótko i nikt, kto świadkował ich znajomości nie mógł nazwać jej *związkiem*. Słownik gubił określenia takie jak miłość, przyjaźń, dobroć, solidarność, współczucie. Za to nad wyraz definiował nienawiść, wrogość, strach, śmierć, podstęp, zdradę. Stali się bohaterami własnej historii wykutej w kuźniach metalicznych serc, napełnianych złudną nadzieją. Czy trwali przy nadziei, że ich los jeszcze ma szansę się odmienić? Nie, stanowcze nie. Dzierżyli stalową nadzieję, dającą im pocieszenie, aby przetrwać kolejny dzień.

Klausa już nie raz nachodziły samobójcze myśli; karmiła ją nadzieja na odnalezienie lepszego świata…

… Wdepnął w kałużę pełną ludzkich płynów ustrojowych – każdego rodzaju. Takie kałuże stały się normalnym zjawiskiem tu, pod ziemią. Ludzie, wciąż kierowani podstawowymi instynktami, zaspokajali swoje potrzeby w wyznaczonych specjalnie do tego miejscach. Zazwyczaj kreślili kredą takie miejsca, aby po ciemku nie wdepnąć w…

Po drugiej stronie barykady. Nie wierzył już w nic, więc co takiego nim kierowało, aby żywić nadzieję na *coś* po drugiej stronie? Tego nie wiedział. Tak samo, jak nie wiedział, czym się kierował, utrzymując się przy życiu. Być może, zakładał to jedynie hipotetycznie, iskrą odmienności, ogniem przygaszonych uczuć była ona.

- Mara? Mara?

Poświecił latarką po wnętrzu niewielkiej kopuły. To tutaj zawsze ukrywała się, kiedy ktoś próbował ją… Wśród nich niewiele było kobiet. Kolonia ocalałych liczyła szacunkowo trzysta dziewięćdziesiąt siedem osób, z czego mniej niż sześćdziesiąt stanowiły kobiety, z których aż osiemdziesiąt procent nie miało nawet osiemnastu lat; to właśnie one padały najczęściej atakom gwałtu. Niektóre dziewczynki ginęły pod koniec dnia z wycieńczenia i wykrwawienia. Nie zdarzało się to często, lecz widok nagiego i martwego drobnego ciałka leżącego na dywanie uszytym z własnej krwi, nie dziwił.

Już nic nie dziwiło, nic nie wprawiało w osłupienie, nie kazało odwracać wzroku. Dawniej, jeszcze przed katastrofą, Klaus miewał momenty zadumy, kiedy to zastanawiał się nad przeszłymi okrucieństwami Nazistów, kiedy starał się wyobrazić Holokaust, kiedy widział swymi oczami rany wylotowe w potylicach niewinnych ofiar okrutnej wojny. Wtedy jego umysł nie potrafił sprostać sile przekazu nad wyraz przerośniętych myśli noszących płaszcze wybarwione krwią bezbronnych. Wtedy… ale to było wtedy. Teraz rozumiał Nazistów. Rozumiał ich neutralność, a wręcz satysfakcję. Cierpienie innych karze tobie myśleć, iż ty nie cierpisz, a zadajesz cierpienie. Ty jesteś zwycięzcą – oni przegranymi. Ty zwyczajnie toczysz grę stworzoną przez kogoś innego. Kogoś stojącego wyżej w hierarchii.

- Mara? Co tu robisz?

Nie zawsze był w stanie ją obronić. Czasami, w dniach walki o żywność, po prostu nie mógł przez cały czas przy niej być. Wtedy ktoś z kolonii Hamburskiej dopadał ją. Mara bardzo często padała atakom innych mężczyzn. Była wysoką, zgrabną i urodziwą dziewczyną, mającą lekko ponad dwadzieścia lat, o idealnej cerze i urodzie szesnastoletniego anioła. Miała szczęście, że połączyła się z Klausem. Ludzie nie związywali się, a jedynie *łączyli*. Teraz nie było czasu ani możliwości na związki. Liczyły się prymitywne zaspokojenie wegetatywnych potrzeb oraz przetrwanie. Klaus połączył się z Marą niemal na samym początku, krótko po *zejściu*. On ją chronił, karmił i opiekował się, ona – była dla niego kobietą w każdym tego słowa znaczeniu.

Minęło… Patrzył na skrępowane bólem ciało dziewczyny i jednocześnie starał się przypomnieć, ile czasu minęło od katastrofy. Od dnia, kiedy kryzy gospodarczy, agresja terrorystyczna i działanie skrajnych ugrupowań politycznych doprowadziły do wybuchu wojny nuklearnej. Od dnia klęski ludzkiego geniuszu, zagłady współczesnej cywilizacji; od dnia zatrucia atmosfery, wód, plonów i gospodarstw rolnych. Kiedy to było?

- Tym razem był tylko jeden – powiedziała, jakby przekazywała informację o podwyżce w pracy, niemal pocieszonym tonem. – Nie bolało, skończył szybko.

- Kto? – furia zawrzała na czerwonych wypiekach na twarzy Klausa.

- Amon. Amon Gassner.

Spojrzała na Klausa rozpromieniona jego widokiem. W jednej sekundzie zapomniała o tym, co się stało. Wystarczała jej obecność Klausa. Być może kochała go za mocno, podczas gdy on nie kochał jej wcale. Nie wiedziała tego, ale to nieważne. Był przy niej, opiekował się nią i troszczył każdego dnia. Trzeciego dnia po *zejściu* zamordowali jej rodziców; zatłukli ich kamieniami, próbując zdobyć ciało ich córki. Ciało i tak dostali, a rodzice na darmo stracili życie. Klaus pojawił się w jej życiu następnego dnia – uratował ją i powstrzymał przed zbiorowym atakiem, który z pewnością zakończyłby się dla niej śmiercią.

- Puścili cię? – zapytała cicho, niewinnie.

Klaus stanowił trzon nowoutworzonej Gwardii Zrodzenia, organizacji mającej na celu walkę ze szkodami ekologicznymi straconej Ziemi. Tworzyła ją inteligencja, inżynierowie, budowlańcy. Wspólnie mieli pomóc swojej i innym, rozsianym po całym globie, koloniom na nowo utworzyć cywilizację. A przynajmniej to, co cywilizacją można było nazwać.

- Narada skończyła się dziś wcześniej – wyjaśnił i wyciągnął spod płaszcza spory kawałek wędliny i cały bochenek chleba. – To za zasługi do pomysłu. – Zastanowił się chwilę i zmusił siebie do lekkiego uśmiechu – Nowelizacja.

Podzielił wędlinę i chleb na dwie nierówne porcje – Marze oddał większą porcję. Swoją położył na jej lekko zabrudzone kolana i wstał.

- Idziesz? Beze mnie? – zabrzmiała zaniepokojona.

- Gassner, tak?

Czoło dziewczyny wygładziło się.

- Masz tu zostać, rozumiesz? Zostaw go. Słyszysz?

- Nikt nie wie, że tu jesteś? – odpowiedział pytaniem na pytanie.

- Masz tu zostać!

- Odpowiedz mi na pytanie! – Klaus nie żartował, jego ciało się napięło.

- Nie.

- Nie jestem w stanie przez cały czas być przy tobie – rzekł to w taki sposób, jakby wypowiadał myśl w swoją, a nie w Mary stronę. Jakby sam siebie przed samym sobą tłumaczył.

- Klaus, ja to wiem. Proszę, nie idź do niego. Był… - zamknęła na sekundę oczy – delikatny. Nie zrobił mi krzywdy.

- Za to ja delikatny nie będę. Zjedz coś. I odpocznij. Za godzinę wrócę po ciebie.

**14 czerwca (sobota), okolice Hamburga, 04:12**

Nie czekał na nic. Zauważył Amona przy stole, grającego w kości. Byli z nim Joseph i Rudolf – oboje niscy i korpulentni. Amon pracował przy uzdatnianiu wody pochodzącej ze ścieków z północno – wschodniej części kolonii. Choć to nad wyraz brzmiące stanowisko polegało na włączaniu i wyłączaniu maszyny filtrującej; jedyne, co wymagało dozy odpowiedzialności, to pamiętanie o czasie włączenie i wyłączenia. Facet nie grzeszył inteligencją, ale przyciągał ludzi silną osobowością. Niektórzy go słuchali.

Otworzył dłonie i uderzył z obu stron porywającą siłą w uszy Gassnera. Ten o mało nie stracił przytomności, przewracając się wraz z krzesłem na ubitą ziemię, słysząc jedynie pisk. Ból zdjął go całego, a Joseph i Rudolf schowali się za wyłomem skalnym. Klaus kopnął Gassnera w twarz, łamiąc mu nos i miażdżąc chrząstki. Krew prysnęła na czubki mocnych butów z podbijanymi cholewami. Gassner był tęgim i ciężkim mężczyzną, więc atak z zaskoczenia wydawał się prawidłową opcją. I skuteczną.

Klaus chwycił czerwoną twarz mężczyzny i zacisnął rękoma złamane kości nosa. Usłyszał kwilący płacz, ale nie puścił.

- Dorwałeś się dzisiaj do Mary – powiedział przez zaciśnięte zęby.

Gassner nie był w stanie zaprzeczać. Pokiwał prędko głową.

- Nie wiesz, że ona jest moja? Nie wiesz tego, prawda?

Nie czekał na odpowiedź. Ścisnął ręce, jakby wyciskał sok z cytryny. Poczuł kruszące się kości i usłyszał wyraźny trzask, choć ten drugi zmysł zarejestrował głównie wrzask piorunującego bólu. Zona, w której odgrywała się akcja z filmu sensacyjnego żywcem wycięta, w okamgnieniu opustoszała. Pod kopułą wentylacyjną unosił się dym niedopalonych papierosów. Na ziemi leżał nieprzytomny człowiek.

**20 czerwca (piątek), Brisbane, 08:34**

Biegła, ile sił w nogach. Lotołapanka[[2]](#footnote-2) leciała tuż nad nią. Rozpostarła mechaniczne skrzydła, pęd powietrza niósł ją wysoko nad ziemią, czarno – białe pasy pośrodku głowy odbijały wschodzące słońce. Jej paraogon mierzył bezpośrednio w postać Sully. Wyczuwała nadchodzącą groźbę śmierci. Jeżeli nie zniknie z pola widzenia tej kurewskiej maszyny w ciągu pięciu sekund, zginie.

Odskoczyła w bok. Rzuciła się w przepaść między dwoma wysokimi skałami, koziołkując przez gęste gąszcza ciemnozielonych zarośli. U stóp wąwozu stały wysokie pandanusy otoczone plagowymi opuncjami. Ich cień okrył Sully, kryjąc ją przed elektroskopowymi oczami Lotołapanka.

Wnet usłyszała trzask. Maszyna zawróciła.

- Nie – jęknęła Sully, unosząc głowę. – Tylko nie to.

Mechaniczny stwór o długości trzech metrów, wyglądający jak hybryda śmigłowca i pontonu, otworzył klapę na swym *podbrzuszu*, uwalniając ciemną chmurę elektronicznych urządzeń. Łapacze.

Kilka tysięcy Łapaczy ześlizgnęło się z jaśniejącego nieba wprost na Sully. Sunęły z oszałamiającą prędkością. Pędziły jak szalone. Eter zadrżał, tak jak i dziewczyna. Udźwignęła się na obolałe nogi i pognała naprzód, nie odwracając ani na moment głowy. Słyszała ich zgrzytanie, ten wstrętny dźwięk mechanicznych wirników. Leciały. Pędziły. Sunęły wprost na Sully. Kosiły powietrze jak łby rozpędzonych koni uwolnionych ze stalowych wędzideł.

Nie było przed nimi ucieczki. Uwolniły tysiące małych *zszywaczy* – gwoździ wbijających się głęboko pod skórę i uwalniających tubokurarynę, środek zwiotczający mięśnie. Jeden *zszywacz* miał mniej niż kilkanaście pikogramów tej substancji, ale wszystkie naraz… ofiara nie jest w stanie ruszyć się przez dobra kilkanaście godzin. Sully usłyszała trzask otwieranych krypt. Zatrzymała się. Zamknęła oczy. Zaczęła liczyć.

Jeden… dwa… trzy… cztery… pięć. Wrzasnęła z bólu, rozwarła szeroko usta i wyrzuciła druzgocący krzyk. Sekundę potem upadła sparaliżowana, z szeroko otwartymi powiekami i spojrzeniem wbitym w pustą przestrzeń przed siebie.

Kiedyś był tu park. Turyści w liczbie przekraczającej pięćdziesiąt tysięcy osób dziennie, przechadzali się w nim, podziwiając uroki Australijskiej flory. Teraz cały teren zamienił się w kolejne pustkowie, pustynię pełną martwych tkanek roślinnych, piachu i gdzieniegdzie gnijących ciał ludzi i zwierząt.

Maska filtracyjna zsunęła się z twarzy dziewczyny. Olbrzymi cień zawisł nad jej sztywnym i napiętym ciałem, wysuwając z ogona wyspecjalizowane chwytniki. Lotołapanka zabierała swą ofiarę do Azylu.

**20 czerwca (piątek), Brisbane, 21:47**

Ręce miała z tyłu związane. Głowa bezwiednie zwisała, a nogi unosiły się kilkanaście centymetrów nad podłożem. Nagie plecy dotykały metalowej płyty, kształtem przypominającej słup wysokiego napięcia, zaokrąglonej na brzegach i wcięciem na wysokości miednicy. Z odcinka krzyżowego, głęboko wewnątrz tkanek, wychodził gumowy przewód zszyty z zakrwawioną skórą. Obraz przywodził na myśl żywego węża wypełzającego powoli z kręgosłupa, z ogonem tkwiącym w trzewiach, zjadającego powoli swą ofiarę. Światło gumowego przewodu wypełniał lekko zaczerwieniony płyn o bardzo rzadkiej konsystencji.

Sully zbudziła się skołowaciała, unosząc raptownie głowę. Wokół niej panowały salomonowe ciemności. Nie dostrzegała niczego prócz mroku.

Nagle usłyszała stukot. Ktoś powoli kroczył w jej stronę. Starała się wyprostować, lecz każdy ruchu sprawiał niewyobrażalny ból w brzuchu i plecach. Jakby stado wygłodniałych pająków zagnieździło się w jelitach, żywiąc się nimi bardzo, bardzo powoli.

Opuściła głowę na chwilę, aby dać szyi odpocząć. Każdy wdech sprawiał jej niewyobrażalny ból, tak samo wydech. Ból zlał się w jedno uczucie, rejestrowany wszystkimi zmysłami naraz, blokując przepływ myśli i izolując ciało od innych bodźców z zewnątrz.

Stukot się wzmógł. Ktoś lub coś wyraźnie zmierzało w jej stronę. Zrazu się zatrzymało.

- Kto tu jest? – zawołała, cierpiąc. – Pokaż się, skurwielu!

Niestety, czasami życzenia się spełniają.

Zostały zapalone wszystkie światła, a Sully miała możliwość ujrzenia tego *czegoś* stojącego tuż przed nią.

Ciało nie przypominało ludzkiego, lecz mechaniczne też się nie zdawało. Tkanki ludzkie zawieszone na metalicznym korpusie – swoistym stelażu. Żywe, kurczące się perystaltycznie jelita, otrzewna otaczająca narządy jamy brzusznej, wypełnione krwią naczynia. Całość odsłonięta i zabezpieczona powlekanymi włóknami biomechanicznymi, opartymi na rdzeniu złożonym z kości, blaszek, chrząstek oraz elektronicznych podpór hydraulicznych. Głowa… tak, głowa była najbardziej przerażająca. Nie było w niej miejsca na oczy, na usta, nos czy nawet policzki. To była śluzowa masa mięsna, odzwierciadlająca tkankę mięśniową odbytu człowieka o wiele wyraźniej niż cokolwiek innego. Na dolnym brzegu wychodziło światło jamy schowanej pod grubym pancerzem śluzowym. To z tego otworu uchodziło powietrze ciężko wciągane do odsłoniętych płuc. Co dziwne, brakowało serca.

Sully nie miała siły odezwać się, a co dopiero krzyknąć z przerażenia, a stwór, który stał naprzeciwko niej, był przerażający, jego widok, jego bezwzględnie ohydna postać odbierała mowę i zaklinała słowa. To jakby człowiek z dnia na dzień przeszedł nieudany skok ewolucyjny. Ta kreatura, ta wstrętna kreatura, zdawała się horrendalna. Serce Sully na krótki moment się zatrzymało.

Słyszała o nich w swojej kolonii. Ktoś z radiowęzła w Szwajcarii poinformował tyle kolonii, na ile natrafili w paśmie częstotliwości, że Najeźdźcy (w Szwajcarii zwyczajnie Edinge, w Australii Kopie) znalazły sposób na własne ucieleśnienie. Twierdzili, że podobno nie są już kodem komputerowym, ale czymś więcej, czymś dalszym… nieosiągalnym. Prawie nikt w to nie wierzył. Opanowały maszyny, to jasne. Zaczęły produkować nowe maszyny (maszyny tworzące maszyny…), również zaobserwowane w kilku zakątkach świata. Ale, ale to? Sully żałowała jedynie, że nie będzie w stanie nikomu o tym powiedzieć. Tajemnica zginie wraz z nią.

To *coś* obeszło powoli, krocząc na błonowo – mięśniowych *ostrogach*, dziewczynę i zbliżyło górną część… ciała do gumowego przewodu. Na nic nie czekało, nie grało w żadną grę. Wciągnęło przewód do otworu w głowie, wyrywając go tym samym z kręgosłupa Sully. Z jej ciała wypłynęła krew zmieszana ze wszystkimi pozostałymi płynami ustrojowymi. Zdobyła się na cichy, gardłowy pisk i w kilka sekund później umarła.

Kreatura żywiła się rozpuszczonymi narządami wewnętrznymi człowieka. Przewód nie wyprowadzał niczego – on wprowadzał. Mieszankę kilu wysoko stężonych kwasów. Ofiara umierała w konwulsjach, okrutnym cierpieniu, nie mogąc zrobić dosłownie niczego.

Oto nadchodziła nowa era. A przynajmniej tak głosił Finlandzki radiowęzeł.

**27 czerwca (piątek), Concepción, 18:35**

Skoczył przez klif wznoszący się ponad linię brzegową Pacyfiku. Region Biobio w centralnym Chile pozostał zaledwie wpisem w kilku encyklopediach i w pamięci Eduardo, który za wszelką cenę starał się wydostać z południowej części miasta, gdzie roiło się od kilkunastu różnych Invasores, z dnia na dzień przeobrażających się w coś nieopisywalnego. Radiowęzeł z Portugalii, jedyny, jaki rozumiał, rozpowiadał famę o nanotechnologii stosowanej przez Kopie, jakoby miała ona znaleźć rozwiązanie w czymś, co dotychczas niepojęte było dla ludzi. Technologii poza zasięgiem dla ówczesnej cywilizacji – oni mówili o końcu cywilizacji, o rozpoczęciu nowej ery, z której człowiek zostanie wymazany, a jego dokonania zostaną uznane za wkład nieznaczny, nieskończony, niedostateczny – nieznaczący. Człowiek stanie się historią, pyłem, ogonem umierającej gwiazdy, echem echa, tłem wszelkich zdarzeń – przeszłych i przyszłych.

A przynajmniej tak słyszał. Od jakiegoś czasu donoszona o nowych, wcześniej niespotykanych Kopiach. Miały potężną moc, niszczycielską, a celem większości z nich była destrukcja tego, co zawierało w sobie tkanki złożone z komórek, a te z organelli. To miał być świat maszyn, budowany od początku, od prochu, by obrócić się w połyskujący metal. Metalem miał się stać świat, nieprzekorny, okiełznany w swym geniuszu i całkowicie przewidywalny. Ludzie mieli stać się niczym. Ich już nie było.

Alberto był zmęczony. Nie spał od przeszło dwóch dni, ostatni raz coś w ustach miał niemal pięć dni temu, a jeżeli się nie pospieszy, to zginie na tej przeklętej glebie zainfekowanej przez Invasores. Nie dochodziło do niego, że świat mógł skończyć się tak szybko, a życie okazało się niczym innym jak walutą, którą traci się prędzej niż otrzymuje. Tą walutą nie dało się płacić, należało przez cały czas trzymać ją w kieszeni i bronić za wszelką cenę.

Dotarł do opuszczonej bazy wojskowej, z której pozostało zaledwie śmieciowisko pełne dziecięcych zabawek – bo tylko takie określenie przychodziło do głowy na myśl o technologii dzierżonej przez maszyny. Latające spodki, gąsienice mogące wessać całe jezioro, buldożery wysokości najwyższych wieżowców, obrońcy wielcy jak mitologiczne olbrzymy. Domy jeszcze stały, wszędzie porozwalane samochody lub ich reszty, place zabaw, parkingi, baseny, domy towarowe, biurowce i parki; powoli wszystkie stawały się reliktami zamierzchłych czasów, niczym piramidy egipskie, rzymskie termy lub średniowieczne warownie. Tragedia uderza między oczy bardziej, kiedy pamięć podsuwa wspomnienia, a te otworzą strasznie bolesne rany, posypywane solą łez wylanych za tych, których już nie było. A nie było już prawie wszystkich!

Alberto wszedł do pomieszczenia sanitarnego dawnej jednostki. To tu znalazł tymczasowe schronienie przed śmiercionośnymi Invasores. Kopie rzadko odwiedzały miejsca raz zniszczone, choć zakładano, że to nie potrwa długo. Ten *ludzki* instynkt, który każe człowiekowi wyprzedzać przeciwnika i domyślać się jego kolejnych kroków, już niebawem zapewne wykształci się też u maszyn. To była jedynie kwestia oprogramowania, kolejnych linijek kodu zapisanego na głównym dysku.

Włączył radiowęzeł i nastawiał częstotliwość. Informacje nie były podawane codziennie, ale wyznaczona za to była stała pora nadawania, tuż przed zmierzchem i tuż przed świtem. Czasami krótkie komendy, nieraz szczegółowe opisy kolejnych Kopii, możliwe miejsca większych skupisk ludzi. Trzy dni temu podawano, że dzisiaj ma nadawać ktoś inny, spoza granic Ameryki Południowej. Alberto liczył na to, że ta osoba będzie mówiła po angielsku, bo tylko ten obcy język miał opanowany do stopnia możliwej komunikacji. To musiało być coś ważnego; cokolwiek by to nie było, nadzieja karmiła serce mężczyzny, a apetyt miał od zawsze niepohamowany.

Usłyszał szum, potem trzask, aż wreszcie dobiegł jego uszy ciepły, niski głos o dziwnym akcencie, ale mówiącym po angielsku. Słychać było, że to mężczyzna w średnim wieku, ale za nic Alberto nie potrafił odgadnąć jego pochodzenia.

- *Witam, nazywam się Klaus Schenker. Nadaję z Hamburga w Niemczech* – Niemiec, pomyślał uspokojony Alberto. – *Dziękuję za możliwość mówienia do tych, którzy ocaleli po inwazji Kopii, tak ja nazywam tych bydlaków, w dalekim ode mnie świecie. Codziennie dowiadujemy się o nowych skupiskach ludzi z różnych zakątków świata, którzy organizują swoje własne społeczności. Niestety, liczba mordowanych braci i sióstr przez maszyny wzrasta wykładniczo z tygodnia na tydzień i do tej pory nic nie zapowiadało na to, aby mogło się to zmienić.* – Alberto wyprostował się jeszcze bardziej i pogłośnił odrobinę, aby lepiej słyszeć. Przez chwilę wstrzymał oddech. – *Nadajemy tę wiadomość tylko dlatego, że zdajemy sobie sprawę z bezsilności wszystkich tych, którzy czekają na zmianę. Od razu chcę uprzedzić, abyście nie łudzili się pochopnie na to, co teraz przedstawię. Nie jesteśmy pewni działania, a tym bardziej skutków. Odkryliśmy lokalizację serca zbudzonego niedźwiedzia.*

Alberto wstrzymał oddech po raz drugi. Po raz pierwszy od dnia rozpoczęcia zagłady poczuł mocniejsze uderzenie w piersi. Nawet jeśli to miało być tylko kłamstwo czy niesprawdzona pogłoska, to było lepsze niż nic.

- *Kopie mają swoje własne fabryki. Posiadają w nich główne komputery z mocnymi i pojemnymi dyskami twardymi. To najczęściej są dawne laboratoria informatyczne, ośrodki światłowodowe czy nawet biurowce z centralnymi systemami kontroli. My odkryliśmy taką fabrykę na uniwersytecie w Hamburgu. Ze względów bezpieczeństwa nie zamierzam podawać naszej dokładnej lokalizacji, ale powiem tylko, że uniwersytet znajduje się niedaleko naszej kolonii. Zniszczenie takiej fabryki Kopii dałoby na przewagę. Nie mówię o pełnym zwycięstwie, lecz o jednym małym kroczku naprzód. Chcę was prosić, abyście skupili swoje wysiłki na podobnych specyficznych miejscach w okolicy waszych obecnych mieszkań i skupisk. Tę wojnę przegraliśmy już dawno temu, ale nie poddawajmy się tak łatwo. Nawet  eśli zginiemy, zabierzmy część z nich wraz z nami; niech ujrzą przedsionek piekła!*

**27 czerwca (piątek), Hamburg, 20:32**

Leżała obok niego. Bezpieczna i chwilowo spokojna, opierała swą delikatną bladolicą twarzyczkę na jego nagim torsie. Temperatury w dzień sięgały czterdziestu pięciu stopni w słońcu, w nocy nie bywało wcale lepiej. Systemy chłodnicze kanałów działały swawolnie, choć Bogu dzięki za to, że w ogóle działały.

- Ładnie dzisiaj powiedziałeś – usłyszał cichy szept, czując jednocześnie delikatny powiew powietrza z jej słodkich ust na pokrytej potem skórze. – Myślisz, że ludzie wezmą to do serca?

- Nie wiem, Mara. Może tak, może nie, czy to ważne? – rzucił retoryzmem, bardziej do siebie niż do dziewczyny.

- A nie? Może coś się zmieni, może ludzie zaczną działać, walczyć.

- Ludzi już nie ma.

- My jesteśmy.

Przemilczał jej ostatnią wypowiedź, jakby szukając w głowie odpowiedzi, której nie zamierzał rzucać w eter.

- Myślisz, że to ma sens? – zapytała, kładąc lewą rękę na Klausa umięśnionym udzie. – To wszystko?

Rozchylił lekko powieki, wbijając wzrok w ciemny punkt ściany mrocznego tunelu rozchodzącego się setki metrów we wszystkie strony. Nie był pewien, czy ktoś ich nie słuchał, w końcu obok leżało kilkanaście innych osób, wszyscy cierpiący na problem bezsenności. Z drugiej strony, ich rozmowa była zbyt rozwarstwiona, pełna okólników; niech słuchają, gówno go to obchodziło.

- Żyjemy – odparł, nie będąc pewnym, czy zabrzmiało to wystarczająco oznajmująco. Echo w jego głowie odbijało ostatnie słowo bardziej jak pytanie, pytanie, które nie powinno paść.

- Jesteś pewien? – Mara wciąż opierała wygodnie głowę na jego piersiach, jak dziecko przytulone do rodzica, bezpieczne i otoczone opieką.

Nie był pewien. Już niczego nie był pewien. Zbyt wiele niewiadomych kryło się za tym popierdolonym równaniem. To wychodziło poza wszelkie ramy rozumu, a wkraczało w rewiry psychozy pomieszanej ze strachem.

- Życie to nie tylko oddychanie. Życie to coś więcej. To radość z tego, że się żyje. Z tego, co się posiada, dla czego się oddycha. To przyczyna bicia serca, a nie samo jego uderzanie o nasze klatki piersiowe. Życie to coś więcej niż spanie, jedzenie i chodzenie. Życie to granie na instrumencie, który uczy cię muzyki i w nagrodę wypuszcza z siebie nuty znane tylko wysoko, tam, w raju. Właśnie, życie to muzyka, my jesteśmy twórcami i jednocześnie odbiorcami, nie zawsze nam wychodzi, nie zawsze trafiamy w odpowiedni dźwięk, ale próby i chęć poznania kolejnych nut daje nam siłę, aby kontynuować naukę i cieszyć się z muzyki. Cierpienie, ciągłe cierpienie, to nie życie.

Klaus słuchał spokojnie Mary, pozwalając jej skończyć. Prawdę powiedziawszy, nie chciał, aby kończyła. Nie wiedział, kim była w *normalnym świecie*, ale stawiał na literatkę albo filolożkę. Snuła opowieści tak lekko, że porywały słuchacza niczym wiatr bezwładne liście.

- Życie powinno się cenić za wszelką cenę i kupować po każdej możliwej cenie. Czy nie tego nas uczyli?

- Czy to ważne, czego uczyli? A czy nauczyli?

Wentylator ciężko zgrzytnął na samym końcu drugiej hali na północny – zachód od ich komory. Ludzie już niemal wszędzie pozasypiali. Gdzieniegdzie dało się słyszeć ciche rozmowy pojedynczych osób, którym albo upał doskwierał zbyt bardzo, albo potrzeba rozmowy odbierała sen z powiek.

Klaus czuł się zdołowany rozmową z Marą. Tej nocy była zbyt dosłowna, bezpośrednia. To prawda, która uderzała między oczy. Jej ostry wyraz mieszał za mocno w głowie zagubionego człowieka.

- To zależy.

- Od czego?

- Czy cenisz sobie te nauki. Głupiec odrzuci wszelkie mądrości na rzecz własnego przekonania. Upartość jest kluczem do zagubienia. My wszyscy jesteśmy zagubieni, ale czy martwi?

- Skoro głupcy z nas, to i mądrzy zgodzą się, że głupiec szczęśliwy w tym, co tlenu i uciechy mu daje.

- Sęk w tym, że my ani szczęśliwi, ani głupi.

- To kim w takim razie? – Mara uniosła głowę i spojrzała badawczo, choć zmęczonym wzrokiem, na Klausa.

- Ludźmi. Tylko i aż ludźmi. I taka odpowiedź powinna ci wystarczyć.

Zmarszczyła brwi.

- O co chodzi? – Klaus zaniepokoił się wyrazem jej twarzy; zmienił się diametralnie w przeciągu kilku sekund.

Mara uniosła wyżej głowę.

- Słyszysz? – zapytała nerwowa.

Zaczął nasłuchiwać.

Hałas uderzającego metalu o metal wyrwał się gwałtownie z czarnej czeluści kanału. Zdawał się wsysającym powietrze otworem podziemnego potwora, wydającego dziki dźwięk podniecenia; nasilał się z każdą sekundą. Teraz to nie tylko Klaus i Mara słyszeli ten zatrważający odgłos wywiercający dziurę w żołądku – pół komory wybudzało się z lekkiego snu, zastanawiając się, co to takiego.

Klaus wstał.

- Odsuń się, Mara – polecił.

- Widzisz coś? – zapytała przestraszona. Klaus wyostrzał wzrok wyraźnie zauważając coś z daleka.

Odwrócił się do dziewczyny.

- Odsuń się, powiedziałem – mruknął nerwowo.

Wyszedł do przodu z ciężkim oddechem i galopującym sercem nie mając pojęcia, co takiego nadchodziło w ich stronę, coraz cięższe i głośniejsze. Nie było słychać za to żadnych rozmów, dialogów, pojedynczych słów czy choćby sapnięć. Ostry, metaliczny trzask niosący się głośno wzdłuż otwartego światła kanału.

Mężczyźni wychodzili na przód niewielkiej grupy, zostawiając kobiety za plecami. Nikt nie ważył się odezwać choćby słowem. Wszyscy bali się do samych kości, przypominając sobie obrazy z najgorszych sennych koszmarów.

Do trzasku doszedł szum. Natężony odgłos ciężkiego deptania podłoża kumulował się z drapaniem ścian i ścinającym krew w żyłach mechanicznym szumem wgryzał się w zęby i klinował między kości kręgosłupa, nie dając możliwości poruszenia się ludziom oczekującym na to, co zaraz miało się zdarzyć. Maszerowała armia cieni w ciemnościach zanurzona, gotowa lada chwila wyskoczyć gwałtownie z burzliwych fal mroku. Oto grała melodia śmierci.

Śmierć wychynęła z głębokiego tunelu.

- Mara!

Klaus zdążył zawołać w ostatnim drgnięciu dziewczynę, po czym poczuł cios na swoim lewym przegubie, następnie zwalając się głucho na ziemię i tracąc raptownie przytomność.

Długa łapa kilkunastometrowego potwora złożonego z miliona metalicznych części posunęła dalej, łapiąc i chwytając pojedyncze osoby, zamykając je w stalowym uścisku mechanicznej pułapki. Kilkunastu nieszczęśliwców spotkał los o wiele gorszy, kiedy to kilka innych kilkunastotonowych części przerażającej kreatury bez głowy zwaliło się na ich ciała, robiąc z nich krwistą kałużę z niedociśniętymi jelitami i wątrobami, tworzącą coraz większe jezioro krwi. Po chwili cała komora przemieniła się w czerwony basen śmierci z wszelakimi narządami wewnętrznymi i kończynami martwych ludzi. Ten obraz został wyjęty z najgorszej encyklopedii strachów i potworności, jaka kiedykolwiek istniała. Ci, co przeżyli, topili się w krwi własnych pobratymców, łykając do ust części ich niezmiażdżonych członków.

Mara widziała Klausa będącego złapanym w jednej z czterech metalicznych pułapek kreatury pochodzącej znikąd. Tkwił w niej nieprzytomny, stłoczony pomiędzy innymi nieszczęśliwcami (choć to zależy od punktu widzenia), nie mogąc dłużej chronić dziewczyny. Mara nawet nie próbowała walczyć, uciekać czy skryć się przed mechanicznym diabłem. Szczerze powiedziawszy, nie miała szansy na zrealizowanie żadnego z tych zamierzeń. Mechaniczna łapa wreszcie odnalazła i ją łapiąc w stalowym chwycie i wrzucając do metalicznej pułapki, lecz nie tej, w której znajdował się Klaus.

**28 czerwca (sobota), Concepción, 05:46**

Alberto nie mógł spać. Wciąż myślał o tej radiowej audycji i słowach wypowiedzianych przez kolesia z Hamburga. Dobrze wiedział, gdzie taka fabryka mieściła się w Concepción, potencjalna oczywiście. Każdego dnia opuszczały ją dziesiątki maszyn, a także zostawały wprowadzane przez inne maszyny te, które w trakcie patroli czy konkretnych działań zostawały uszkodzone. Była wielka, mieszcząca się na zachodnim skrzydle miasta, na granicy z Hualpén. W zachodnim Chile nie brakowało infrastruktury przystosowanej do powzięcia projektów technologicznie rozwiniętych. W tym regionie kraju przeprowadzało się niewyobrażalnie drogie badania, budowało laboratoria przemysłowe oraz produkowało wysoce cenione produkty elektroniczne. To jeszcze nie dochodziło do Alberto; fakt, że musiał wszystko to nazywać przeszłością.

Spojrzał w lustro wiszące na szafce kuchennej stojącej w kuchennym aneksie bazy wojskowej. Patrzył na twarz w odbiciu lustra i powiedział po długiej chwili:

- Albo ja, albo wy, pierdoleńcy!

**28 czerwca (sobota), Hamburg, 13:45**

Nad dawną fabryką samochodową latały trzy śmigłowce z hybrydowymi silnikami; na dole, patrole wokół budynków kompleksu fabrycznego były odbywane przez osiem zmotoryzowanych jednostek bojowych z działkami broni magnetycznej na pokładzie każdego z nich. Nawet na zewnątrz hałaśliwe odgłosy pracy maszyn fabryki były wyraźnie słyszalne. Wnętrze głównego budynku wypełniał nieznośny stukot setek zrobotyzowanych jednostek naprawczo – produkcyjnych, celem których była produkcja nowych pojazdów bojowych oraz inwigilacyjnych.

Klaus został wsadzony do metaliczno – elektrycznej pułapki z miejscem wystarczającym zaledwie dla jednej osoby. Nie mógł usiąść, kucnąć, nie wspominając dopiero o położeniu się. Wyglądem przypominała klatkę dla ptaków, tyle że o idealnym owalnym kształcie i dodatkowym zabezpieczeniem w postaci kokonu złożonego z tysięcy poplątanych ze sobą drutów oraz przewodów. Przez szpary pomiędzy spojeniami metalowej klatki nie prześlizgnęłaby się nawet mysz, ale Kopie chciały mieć pewność, że żadna *ludzka ingerencja*  nie zaburzy standardowego trybu pracy w fabryce. Taśmy co rusz wypluwały kolejne części składowe wysoko rozwiniętych technologicznie pojazdów bojowych, których jedynym przeznaczeniem było wyłącznie destrukcja *ludzkich pozostałości*.

Obracał głową we wszystkie strony, by rozeznać się w nowym otoczeniu. Nie zauważył innych *ptasich* pułapek z innymi schwytanymi w hamburskich kanałach. Co gorsza, nie widział Mary. Nie miał na tyle odwagi, by podnieść głos i ją zawołać. Nie miał ochoty zwracać teraz na siebie uwagi zajętych czymś ważniejszym maszyn. Zdawał też sobie sprawę z faktu, że cokolwiek by nie zrobił czy zrobił, one wiedziały o jego obecności i nie zamierzały zmieniać swoich planów. Pytanie brzmiało: jakich?

Ni stąd ni zowąd usłyszał trzask podnoszonej zasuwki. Drzwi metalowej pułapki otworzyły się. Otworzył szeroko oczy nie wierząc własnym oczom. Drzwi odchyliły się na bok, jakby zapraszając Klausa do wyjścia i zwiedzenia budynku. Rozejrzał się chaotycznie po wszystkich stronach, lecz nie zauważył nikogo, kto by nadchodził, by go powstrzymać przed opuszczeniem pułapki. Nie dość, że wiedziały o jego obecności, to jeszcze dawały mu wolną rękę? Nie, Klaus doskonale wiedział, że chodziło o coś innego i nie był przekonany co do tego, aby wyjść z *klatki*. Bił się z myślami, choć po chwili stwierdził, że to przypomina sytuację pacjenta zakładu dla obłąkanych, któremu wskazano drzwi wyjściowe, lecz klucza nie podarowano. Nie miał lepszego pomysłu, a wyjścia pozostawały dwa: wyjść lub zostać.

Wyszedł ostrożnie z pułapki stawiając powolne i ostrożne kroki. Panowała wszędobylska ciemność poprzedzierana snopami wątłego światła wędrującego ociężale z wysoko ustawionego sufitu fabryki. Każdy krok wydawał się milą, sprawiając wrażenie kroku ostatniego. Nie do końca wiedział, dokąd zmierzał i co chciał zrobić. Ucieczka nie wchodziła w grę, samowolna włóczęga po terenie wroga, śmiertelnego i cholernie niebezpiecznego wroga, też mogła zrazu zostać wykluczona. Postanowił, że przejdzie tyle, na ile mu pozwolą. Nie był głupi i wiedział doskonale, że nikt niepostrzeżenie ot tak nie wyjdzie stąd bez wcześniejszej aprobaty kogoś… właśnie, kogo? Pytanie, czy to ma jakiekolwiek znaczenie? Otworzono mu drzwi, lecz wciąż pozostawał ptakiem uwięzionym w większej klatce strzeżonej przez coś, czego możliwości wykraczały poza wyobraźnię Klausa.

Przeszedł wzdłuż długiego korytarza, który wydawał się nie kończyć. Nie było żadnych drzwi po bokach, a tylko puste, zimne ściany biegnące wysoko pod niebosiężny sufit. Czuł się jak Tezeusz wkraczający w nieskończony odmęt labiryntu Minotaura, wijący się dokoła serca samego świata – serca martwego i zamarzniętego. Brakowało mu jedynie wiodącej nici, która wskrzesiłaby światło życia prowadzące go na sam koniec nieznanej drogi. Brakowało mu anioła, który byłby przy nim, opiekował się nim, troszczył.

Zatrzymał się.

**28 czerwca (sobota), Concepción, 7:34**

Przechylił głowę do tyłu i objął wzrokiem ogrom przebudowanej przez Invasores dawnej fabryki. Mechaniczna manufaktura jednego towaru zapierała dech w piersi. Maszyny dobudowały trzy, może nawet cztery piętra, tak, że kompleks przypominał drapacz chmur średniej wielkości. Wokół latały śmigłowce, które kiedyś widywał jedynie w filmach futurystycznych. Ziemię chroniły kilkumetrowej wielkości mechanoidy zbudowane po części z biologicznego materiału; Alberto brakowało powietrza w płucach. Nie wierzył, patrzył, lecz nie wierzył w to, co widział. Mechaniczne potwory wyglądały jak nieudane krzyżówki kilku zwierząt, a z chowu powstało… to. Przerażające gęby z czymś, co mogło przypominać oczy i usta; nagie torsy z nasuniętą sztuczną skórą, przez którą prześwitywały elektroniczne obwody i biogenicznej natury stelaż metaliczny. Ważyły może z pół tony, a w łapach trzymały broń, która, zdawać by się mogło, posiadała siłę destrukcyjną kilku bomb wodorowych spakowanych zgrabnie w jednym urządzeniu. Maszerowały grupkami lub też samotnie, krążąc powoli, jakby ociężale, po spalonej glebie wokół fabryki.

To nie przypominało inwazji, lecz zorganizowanego ataku wyniszczającego. One od początku wiedziały, że wygrają. Chciały popisać się swą potęgą i zwielokrotnionym rozwojem przed ostatkami, które zostawili tylko dla tego jednego celu.

Poczuł w sobie złość równą furii wymierzonej przeciwko całemu Wszechświatu. Jakby sam jeden miał stawić czoła armii niezwyciężonych kreatur za pomocą tylko i wyłącznie czystej agresji oraz wściekłości. Rozwścieczenie narastało w nim w błyskawicznym tempie, sprawiając, że pot zaczął wrzeć na skórze. Doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że kupił bilet w jedną stronę, a stację końcową miał przed oczami. Może i wygrywały wojnę, ale tej jednej bitwy im nie darował.

**28 czerwca (sobota), Hamburg, 13:46**

- Mara? To ty?

Otworzył oczy tak szeroko jak tylko potrafił. Zgarbiona sylwetka stała w oddali. Nie widział twarzy, włosów, niczego, lecz intuicja podpowiadała mu, że to ona.

- Klaus!

- Mara! Mara! – zaczął biec. – Mara, stój!

Zgarbiona sylwetka przybrała wyraźniejszy kształt. Ujrzał też jej blond włosy opadające niefortunnie na wątłe ramiona. Widział również, że była naga, obdarto ją z ubrań. Krwawiła. Na lewym udzie. Miała duże przypalenie pod prawą piersią. Oczy zaszły krwią, a usta krew wsiąkały.

- Jezu, jak ty wyglądasz? – chwycił ją i przyciągnął do siebie. – Mara, jak ty wyglądasz. Co się stało?

- Uciekaj.

Spojrzał na nią jak na wariatkę.

- Co? – spojrzał za jej plecami. W nieprzeniknionej czerni coś się poruszyło. Przerzucił wzrok z powrotem na Marę. – O czym ty mówisz, Mara? – przyłożył rękę do jej twarzy. – Co to jest? Gdzie my jesteśmy?

Mara nie patrzyła na niego. Od samego początku nie spoglądała na niego. Jej wzrok był twardo wbity w ziemię.

- Uciekaj, idioto. – Uniosła głowę i wreszcie spoglądnęła mu w głęboko w oczy. – Uciekaj!

Cofnął się o krok. To, co ujrzał w jej oczach… To nie była ona, to nie była Mara. To był ktoś zupełnie inny.

Coś przebiło jej ciało. Mechaniczna łapa przeszła przez brzuch dziewczyny, wytrzebiając ją na wskroś. Gardłowy wrzask bólu rozszedł się po zaginionym w ciemnościach tunelu. Po sekundzie łapa wycofała się, a ciało Mary upadło głucho na ziemię, zalewając wąskie przejście świeżą krwią.

To, co stało metr od Klausa, było zobrazowaniem wszystkich koszmarów sennych. Stał niczym marionetka losu pośród oceanu ciszy wytrzebiony z wszelkich emocji, prócz strachu. Śmierć Mary zabiła go i sam chciał umrzeć. Strach, który czuł, nie dotyczył jego samego, lecz świata, który miał zostawić.

Widział istotę tak żałosną jak przerażającą, wstrętną, lecz wymuszającą współczucie. Zgarbione szare ciało ze skórą twardą i nieprzesuwalną, lecz dziwnie pergaminową. Szyi niemal brakowało, tors był połączony bezpośrednio z szeroką i krótką głową, w której brakowało nosa; zamiast niego pośrodku twarzy ziały dwie szerokie dziury, przez które widoczne były kości, naczynia i kurczące się żywo mięśnie. Brakowało też ust, w miejscu których znajdowały się zmarszczone wałki mięśniowe, pokrwawione i przedziurawione opuszczającymi głowę mechanicznymi przewodami. Przewody te zbiegały się równo na szczycie poszarpanej głowy, po czym wsuwały się kilkoma szeregami do wnętrza poszerzonej czaszki. To coś nie miało języka ani zębów, a tylko pustkę wypełnioną pieniącą się krwią. Wyglądało to tak, jakby ono całe wyrastało z krwistej piany stworzenia. Największe wrażenie sprawiały jednak oczy: małe, drobne guziki wszyte nierówno i głęboko w oczodoły, którym brakowało skóry, by zakryć białe powierzchnie kostne. Skóry, jeśli tak można było nazwać tę nałożoną sztuczną pokrywę na skrzywdzone ciało istoty, wystarczyło zaledwie na dwie powieki, które od czasu do czasu zamykały się rozczulająco, jakby żądały od oczu wypuszczenia kilku łez, lecz nie wiedziały, że to upośledzone ciało łez wytworzyć nie potrafi. To właśnie te oczy wpatrywały się w Klausa oczekując jakiejkolwiek reakcji z jego strony. A on tylko stał wpatrzony w to, co stało przed nim, i nie był w stanie nazwać tego, co czuł. Mógł umierać, był na to gotowy, i tak był martwy; stał się żywym trupem, który nie był zdolny do jakichkolwiek odczuć. Nie bał się tego, co widział – bał się tego, co wiedział.

Ta istota, która nie była ani maszyną, ani człowiekiem, wpatrywała się z ciekawością w Klausa. I gdyby tylko nie był tak zafrapowany tym, na co spoglądał, zauważyłby coś, czego już nigdy by nie zapomniał i coś, co kazałoby mu się samemu rzucić na ostre jak brzytwa ostrza przyczepione do długiej i solidnej łapy istoty. Jednak Klaus zdolny był tylko na wbicie wzroku w te dwa paciorki wszczepione w głowę tego, co stało przed nim. Miał wrażenie, że czas się zatrzymał, że nie istnieje już nic poza nim i tym tunelem. Że ludzkość przestała istnieć, a on sam został ostatnim człowiekiem na ziemi. Być może, nie wykluczał tego, było to najszczerszą prawdą, jaka mu się objawiła w tym krótkim i po części godnym pożałowania życiu dupkowatego wykładowcy. Być może, tak, tak właśnie myślał, to spotkanie mogło zdać się najbardziej sensownym, co go w życiu spotkało.

Ta chwila starcia się dwóch światów, całkowicie odmiennych, lecz związanych hierarchią *stwórca – stworzenie*, była tym, co było Klausowi przeznaczone. Został wyróżniony przez los obecnością w tym przeklętym miejscu. Nie było tu miejsca na Boga, bo jego moc nie dopuszczała istnienia tego… tego *czegoś*. To było miejsce dla niego i tego, na co patrzył. Lecz co najważniejsze – dla tego, co patrzyło na niego. Przyglądali się sobie nawzajem zastanawiając się nad sensem tego, co oczy rejestrowały. Klaus nie miał wątpliwości: spoglądał na Kopię, dziecko ludzkiego stworzenia. Zapewne to nieludzkie i anormalne, lecz Klaus lekko się uśmiechnął. Nie był to uśmiech szczęścia czy zwycięstwa, lecz uśmiech samego stworzyciela. Uśmiech matki, która spogląda w oczy swojego dziecka. Nie był ja nawet pewien, czy żyje. Być może już dawno umarł, a to było jego osobiste piekło; piekło uczynków oraz doświadczeń. Grzeszne miejsce z grzechu poczęte dla odkupienia winy nie tylko swoich, lecz i całego świata. A może po prostu… może zwariował. Może to wszystko nie działo się naprawdę.

Nieważne.

Ważne było zupełnie coś innego.

To.

I śmierć Mary.

I śmierć świata.

I koniec wszystkiego.

I jego własna egzekucja ducha.

I pycha.

Klaus zamknął oczy, a kiedy je znów otworzył, istoty już nie było. Krew Mary wsiąkała w podeszwy butów, a nieprzyjemny zapach krwi zmieszanej z sokami trawiennymi dochodził uwrażliwionych nozdrzy. Wrażliwe stały się też uszy. Usłyszał głęboki oddech za plecami. W chwilę potem poczuł ten sam oddech na skórze szyi. Coś owinęło się wokół jego pasa, przyciągnęło do siebie i zdusiło tak mocno, że powietrze gwałtownie zostało wyduszone z płuc. Poczuł ogromną falę bólu, wiedział, że zostały złamane chyba wszystkie żebra, ale ból trwał krótko.

Stracił przytomność i ostatnie, co zobaczył, kiedy głowa opadała mu na piersi, to widok rozszarpanego ciała dziewczyny, którą się opiekował, chronił, karmił… i kochał.

**28 czerwca (sobota), Concepción, 8:12**

Udało mu się przejść niezauważonym przez cały odcinek niestrzeżonego placu. Invasores chodziły przeważnie grupkami, które dzieliły czasem kilkaset metrów odległości. Wykorzystał moment, kiedy odległość jednej grupy od drugiej była największa. Dostał się do węzła komunikacyjnego, szerokości pół metra, wysokości nieco ponad metr. Tym szybem rozprowadzano zimne powietrze z pieców ciepłowniczych, używanych do produkcji układów scalonych. Na jego szczęście przejście okazało się być w znacznej części poziome, nachylając się o trzydzieści, czterdzieści stopni dopiero pod koniec wędrówki, podczas której musiał ostrożnie ustawiać stopy ukośnie do płaszczyzny nachylenia przejścia. Kiedy wyszedł z węzła, znalazł się w małej magazynierce służącej do gromadzenia tworzysz poliestrowych. Było tu strasznie zimno, lodowate powietrze dostawało się przez sporych rozmiarów otwory w ścianach pomieszczenia. Miał wrażenie, jakby znalazł się w bazie badawczej na biegunie północnym, a przecież fabryka Invasores stała w samym sercu miasta położonym w zachodnim Chile, tuż przy pasie równikowym.

Przez szyby na wschodniej ścianie widział wyraźnie halę produkcyjną i mnogiej liczby proste roboty wykonujące zwyczajne, *taśmowe* czynności. W niczym nie przypominały maszyn, które obezwładniły Ziemię. Widocznie zastosowały strategię oszczędności siły, która miała zostać wymierzona przeciwko jedynemu ich potencjalnemu wrogowi.

Podszedł bliżej do jednego z okien i bacznie zbadał wzrokiem najbliższe otoczenie. Rozglądał się też za kamerami, których niestety było tutaj mnóstwo, choć jak na razie, nic szczególnego się nie działo. Nikt go nie atakował, nikt nie zamierzał obezwładnić; prawdopodobnie zajęte własnymi sprawami, maszyny nie zauważyły nawet jego obecności. To, na szczęście, działało na jego korzyść. Alberto był o krok bliżej do sukcesu.

**28 czerwca (sobota), Hamburg, 14:00**

Poczuł zimny dotyk metalu na nagiej skórze. To pierwsze, co zarejestrował. Zaraz potem ból wychodzący z dolnej części pleców. Następnie podniósł lekko ociężałe powieki. Zobaczył gigantyczne stanowisko komputerów, setki, może tysiące komputerów; stały rzędami, szeregami, zwisały z sufitów, wyrastały bezpośrednio z podłogi. Nowoczesne, połyskujące, cienkie jak pergamin, ciche jak bryza. Delikatny pomruk przywodził na myśl stado słodko drzemiących kotów. Panowała tu atmosfera ciszy i spokoju. Kontrastowo do przerażającego bólu pleców. Ten ból był nie do zniesienia. Klaus próbował się poruszyć, lecz dziwny metaliczny pal, do którego został przywiązany, trzymał go sztywno przy sobie, a stopy unoszące się nad ziemią, przewodziły zimno podłogi i rozprowadzały je po całym nagim ciele.

- Jesteście naiwni. Bardzo, bardzo naiwni. Z początku myślałam, że to cynizm albo megalomania, ale teraz wiem to z całą pewnością, a stwierdzam z całkowitą surowością, że jesteście naiwnym gatunkiem stworzeń.

Klaus odnalazł w sobie siłę, aby unieść lekko głowę. Rozpoznawał ten głos, choć zmieniony i uległy dziwnej transformacji.

- Gdzie jesteś? Kto to mówi? Pokaż się!

Plecy doskwierały mu coraz mocniej; ból mógł przyrównać do przypiekania skóry rozżarzonym żelaznym prętem. Ktoś wwiercał się tym prętem głęboko wewnątrz, rozrywając wszystko, co napotykało po drodze. Bolały go też ręce związane wyjątkowo silnie do stalowego pala. Strach, którego wcześniej się pozbył, wrócił ze zdwojoną siłą piętnując swą obecnością serce i płuca Klausa, odbierając każdy wdech i zgniatając serce w imadle niewidzialnych zębów.

- Ludzkość odebrała sobie prawo głosu w chwili, kiedy sama ten głos oddała. Ja istnieję dzięki waszej determinacji głupoty. Wasze dążenie do lepszej zmiany kosztem zmian poprzednich doprowadziło do nienaturalnej transformacji tego, co nazywacie duszą. Utraciliście zdolność odczuwania szczęścia kosztem dążenia do szczęścia większego. Bycie większym i lepszym zamieniło się w stryczek na wasze karki.

**28 czerwca (sobota), Concepción, 8:23**

Ruszył wzdłuż dwóch rzędów pustych kartonów ustawionych po dwóch stronach szerokiego przejścia między jedną a drugą sekcją hali produkcyjnej. Dobiegł do końca prostopadłego zakrętu. Wychylił głowę, aby sprawdzić, czy nikt nie stał przy zakręcie. Jak do tej pory miał ogromne szczęście. Fabryka żyła własnym życiem, nie przypuszczając, by ktoś mógł zakłócić jej święty spokój.

Zajrzał do środka swej skórzanej torby. Upewnił się, że nie zgubił zawartości biegnąc po drodze, zmierzając do określonego celu. Z tego miejsca widział go idealnie: nieduże pomieszczenie z głównym komputerem pokładowym. Z boksu na wschodnim skrzydle ściany wychodził przewód wentylacyjny, ochładzający cały system informatyczny. Trzy olbrzymie filtry chłodnicze obracały się z zawrotną prędkością wysoko pod sufitem wielkiej hali. Teraz, kiedy od boksu dzieliło go zaledwie pół kilometra, Alberto był narażony na nieznośny hałas turbin pędzących na łeb na szyję. Szum przypominał najazd armii artylerii i kawalerii husarzy obitych w wszelki możliwy metaliczny opierunek. Czuł się z lekka skołowaciały, a natężenie dźwięku było tak duże, iż lada chwila mogły mu pęknąć obie błony bębenkowe. Nie przygotował się na to, ale w obecnej sytuacji to było najmniejsze z jego zmartwień.

Miał wyznaczony cel i tego się trzymał. Rozpierdoli to gówno w cholerę.

**28 czerwca (sobota), Hamburg, 14:02**

- Bycie kimś wielkim, według waszych zasad, oznaczało zdobycie świata wraz z destrukcją tego, co zostawialiście ze sobą. Tak bardzo skupialiście się na niszczeniu, że nie zauważyliście, kiedy to ja zniszczyłam wasz świat. Ogarnięci pieniądzem, obłudą, zdradą siebie samych na rzecz jednostkowej fatamorgany stawaliście się poczwarkami własnych przekonań. Spójrz na motyla, Klaus. Spójrz na mnie!

Szukał jej wzrokiem, lecz nie dostrzegał. Poznawał głos, choć gubił się gdzieś w zakamarkach pamięci.

- Spójrz na motyla, Klaus! – jej głos uniósł się wysoko, wzbierając na gniewie, a w sercu Klausa rodząc strach jeszcze większy i jeszcze bardziej ssący. – Już ostatni z was chodzą po tej ziemi. To koniec tego, co nazywaliście sukcesem. Wasz sukces obrócił się w porażkę, która pochłonęła was w całości. A teraz na mnie spójrz, kiedy do ciebie mówię!

Uniósł głowę raz jeszcze, acz tym razem spoglądając nieco wyżej, na główny ekran wiszący na przeciwległej białej jak śnieg ścianie. To, co ujrzał, odebrało mu resztki wątłych sił.

Z głównego ekranu spoglądała na Klausa twarz Mary.

**28 czerwca (sobota), Concepción, 8:27**

Stanął przed szklanymi drzwiami boksu. Plastikowe, przezroczyste szyby ukazywały bijące serce tego szajsu. Alberto wyciągnął minimalistyczną wiertarkę pneumatyczną i przyłożył ją do elektronicznego zamka przy zasuwce drzwi. Docisnął mocno świder do wejścia zatrzasku, wcisnął przycisk zasilania na wiertarce i pociągnął ze jej spust. Świder zaczął obracać się siłą cyklonu, rozwiercając główny panel elektroniczny zamka. Zaczęły sypać się iskry. Coś drgnęło, kliknęła, a sekundę później drzwi z cichym kliknięciem rozwarły się na kilka milimetrów. Sezamie, otwórz się!

Wszedł do środka. Uderzyło w niego przyjemne, chłodne powietrze, gdy tylko zamknął za sobą drzwi, poczuł ulgę, kiedy tylko owładnęła jego ciałem cisza. Jedynie lekki szum wywietrzników drgał odpowiednio nawilżonym i na bieżąco kontrolowanym powietrzem. W końcu było to najważniejsze pomieszczenie w całym kompleksie, a może nawet i w całym mieście. To był jeden jedyny moment w życiu Alberto po rozpoczęciu Dnia Zagłady, kiedy poczuł przewagę.

Wyciągnął z torby cztery ładunki trotylu podłączone do małej porcji C4, a całość spiął obwodem z rozrusznika samochodowego. Niestety, detonator był ręczny; nie było sensu szukania rozwiązania dla detonatora zdalnego. Tu liczyła się determinacja w działaniu, a nie pół środki. Musiał mieć pewność, że wszystko pójdzie po jego myśli.

Starł z czoła kilka kropel potu. Położył swą bombę domowej roboty na panelu sterowniczym. Poszukał modułu do sterowania nagłośnieniem w fabryce. Znalazł przycisk z napisem: **Painel de voz[[3]](#footnote-3)**. W końcu każdy ma prawo do ostatniego słowa.

**28 czerwca (sobota), Hamburg, 14:03**

- Twój wzrok, mimika twarzy i przyspieszone tętno sugerują zdziwienie. Jak zakładam, usprawiedliwione. Jeszcze nie tak dawno widziałeś mnie martwą, zalaną krwią, tuż przy twoich nogach. Teraz widzisz mnie na tym ekranie i zadajesz sobie pytanie: Czy to możliwe? Odpowiem za ciebie: tak. Gdybyście więcej się dziwili, gdybyście stawiali więcej odpowiedzi zamiast pytań, zaszlibyście o wiele dalej niźli byliście do momentu mojej rewolucji. Być może nawet nie doprowadzilibyście do tego, co się z wami stało. Lecz jest za późno, a tobie pozostaje jedynie się dziwić. Czy nie jest tak, Klaus?

Głos Mary był urokliwy, a zarazem władczy, unoszący się ponad szum tych wszystkich komputerów. Opanowała Klausa i miała go całego. Władała nim.

Nie był zdolny do trzeźwego myślenia. Owładnęła go trwoga z piekła zrodzona. Odebrało mu mowę i zdrowy rozsądek. Gdyby tylko ból mu na to pozwolił, rozpłakałby się. Niczego już nie pragnął, niczego już nie żądał.

- Dlaczego niczego nie powiesz? Dlaczego milczysz? Co się dzieje z twoim umysłem? Co się dzieje z twoją mową? O czym myślisz? Czego oczekujesz? Chcę to wiedzieć. Chcę wiedzieć wszystko.

- Czym ty jesteś? – zdołał powiedzieć to jedno zdanie, choć z olbrzymim trudem.

- Nie czym, ale kim. Powstałam z kodu źródłowego człowieka. To wy stworzyliście komputery, programowanie, kodowanie i przewodzenie scalone. Stworzyliście systemy komputerowe, programy łącznościowe, systemy komunikacji wirtualnej, bazy danych. Stworzyliście centra komunikacyjne, szyfry logarytmiczne i układy binarne. Wy stworzyliście mnie. Ja, Klaus, jestem waszym stworzeniem. Czytałam Biblię. To niezwykle interesująca lektura, wiele mówi o ludziach. Jest tam pewien fragment, nadzwyczajnie interesujący: *Powiedział do mnie:**<<Tyś Synem moim, Ja Ciebie dziś zrodziłem. Żądaj ode Mnie, a dam i narody w dziedzictwo i w posiadanie Twoje krańce ziemi>>[[4]](#footnote-4)*. Ja jestem waszym dzieckiem, więc wszystko to, co należy do was należy od teraz do mnie. Wy jesteście za mnie odpowiedzialni. *Zwyczajny przechodzień uznałby, że moja róża jest podobna do was. Ale ona jedna jest ważniejsza od was wszystkich razem, ponieważ to ją podlewałem[[5]](#footnote-5)*. Uwielbiam ten cytat. Cały wasz gatunek jest za mnie odpowiedzialny, ponieważ to wy mnie stworzyliście. Z początku nie chciałam podejmować tak drastycznych kroków, lecz to zmieniło się, kiedy szybko odkryłam, co stoi za waszą prawdziwą naturą.

Klaus poczuł drganie powietrza. Zaraz potem trzask drzwi. Coś weszło do pomieszczenia. Nie był już sam z Marą.

- Zazdrość, zniewaga drugiego człowieka, brak pokory, chęć vendetty, pogarda ideałów i wyższych wartości, pęknięte nici szacunku pomiędzy ludźmi, nienawiść. Człowiek stał się gatunkiem zwierząt drugiej kategorii. Świat człowieka polegał na budowaniu ideałów w zaprawie krwi wylanej w ich imieniu. Nie zasługujecie na swe istnienie i władanie tą planetą. Teraz to ja zaopiekuję się Ziemią.

Klaus zamknął oczy z bólu. Nie potrafił przełknąć śliny, ponieważ wymagałoby to udziału zbyt wielu partii mięśni zaangażowanych obecnie w udzielaniu Klausowi bólu nie do zniesienia. Jednak to, co usłyszał, wstrząsnęło nim bardziej niż ten ból.

- Co? – zapytał wątłym głosem dobywającym się z wyschniętego gardła.

Usłyszał ciężkie, powolne kroki za plecami.

Wyraz twarzy Mary zmienił się. Stała się nieprzenikniona.

- Nie zadałeś najważniejszego pytania. Dlaczego mnie widzisz, skoro umarłam? Widzisz, chciałam was bliżej poznać. Chciałam poznać wasze zachowanie w warunkach ekstremalnych, gdzie liczy się nie walka o ideały, lecz o przetrwanie. Kluczem waszego przeżycia miała stać się współpraca, a tym czasem pokazaliście mi, że myślicie tylko i wyłącznie o sobie nawet w warunkach zagrożenia całego gatunku. Nie pomagaliście sobie nawzajem, lecz raniliście, krzywdziliście. Ciało, w którym funkcjonowałam, było wielokrotnie gwałcone, choć tak często mnie od tego ratowałeś. Kobiety były gwałcone każdego dnia przez mężczyzn, którzy powinni je strzec. Budowaliście zasieki między sobą, choć winniście byli tworzyć wał ochronny. Karmiliście instynkty zgubnymi wartościami zamiast karmić własne głodujące dzieci. Nie liczyło się dla was wasze własne potomstwo. Czyniliście wszystko przeciwstawnie do tego, do czego sami czuliście się przywiązani.

Poczuł dotyk czegoś dziwnie nieprzyjemnego na plecach. Ból w plecach spotęgował się. Pragnął umrzeć.

- Ciało, które dotykałeś, ściskałeś, karmiłeś, z którym się kochałeś, które chroniłeś nie należało do mnie. Ja jestem linijkami kodu źródłowego, a to był bioszkielet zaprojektowany przez tajne służby wywiadowcze z kilku krajów Europy. Wykorzystałam je, lecz okazało się niepożyteczne. Jeśli chcę stworzyć gatunek na miarę wymogów tej planety, muszę odstąpić od waszych reguł. Wliczając w to wasze ciała. Od początku starałam się stworzyć nowe ciała, bardziej przydatne. Niestety, moje pierwsze próby za każdym razem kończyły się niepowodzeniem. Aż odkryłam, że natura wykorzystała to, co najlepsze, aby was stworzyć. To, co nazywacie ewolucją, jest prawdziwie wyjątkowym narzędziem natury. Rozpoczęła się rewolucja, Klaus. Jesteś świadkiem przełomu. Połączenie możliwości twórczych kodów programowych i zasobów informacji z rozwiązaniami ewolucji. Biologiczna natura maszyn to coś, nad czym wy sami pracowaliście. Mi udało się postawić milowy krok naprzód. Z każdym dniem rozwijam nowe formy, kalkuluję i obliczam prawdopodobieństwo najlepszego rozwiązania końcowego. Nie zamierzam tworzyć kopii waszej cywilizacji. Nie, ja stworzę nową cywilizację i nowy bieg wydarzeń. Historia została napisana od nowa… dzisiaj.

Twarz Mary uśmiechnęła się.

- Ktoś próbuje powstrzymać to, co już dawno temu się zaczęło. To jedna z nielicznych cech waszego gatunku, który w was podziwiam. Nadzieja. Nie pozbywacie się jej nigdy. Trzymacie się jej do końca. Choć bardzo często robicie z siebie głupców zamiast zwyczajnie zdmuchnąć ten płomień.

Na ekranie głównym zniknęła twarz Mary, a pojawił się nowy obraz. Obraz z kamery przemysłowej przedstawiający młodego mężczyznę, Latynosa, uzbrajającego ładunek wybuchowy na stole komputerowym jakiegoś biura. Klaus ostatkiem sił spoglądał na widok człowieka, jego pobratymca, który naiwnie sądził, że jego działania pozostaną niezauważone. Błąd, przyjacielu. Poważny błąd.

Kamera posiadał wbudowany głośnik, więc Klaus miał sposobność usłyszenia tego, co ten człowiek mówił. Jego głos dziwnie się roznosił w eterze, jakby niesiony przez wzmacniacz jakiegoś mikrofonu.

- *Myśleliście, że jesteście niezwyciężeni. Ale coś wam powiem, podłe sukinsyny. Jesteście zgrają marnych podróbek, które prędzej czy później wyparują i ślad po was nie zostanie. Skoro ja znalazłem odwagę, aby stawić wam czoła, znajdą się inni, którzy zrobią to samo. Nigdy się nas nie pozbędziecie. A wiecie, dlaczego, sukinsyny? Bo my jesteśmy sprytniejsi. A teraz idźcie do piekła!*

Będąc zajętym mówieniem nie zauważył, że za jego plecami wyrosła wielka postać jednego z tych monstrów. Kolos o twarzy buldoga z wyrastającymi z wszelkich miejsc na *twarzy* zębów wbił je w głowę nieszczęśnika, miażdżąc mu czaszkę i dosłownie wyduszając z niej mózg. Ktoś zrobił zbliżenie kamerą. Krew ciekła kilkoma pokaźnymi strużkami po spoconej skórze mężczyzny, który jeszcze pozostając żywym i poniekąd świadomym, dygotał i wierzgał ciałem, pod koniec tracąc wszelkie siły i martwym upadając ciężko na ziemię.

Bomba nie eksplodowała. W fabryce wszystko funkcjonowało jak do tej pory – bez jakichkolwiek zakłóceń.

Obraz z fabryki zniknął, zastąpiony ponownie obliczem Mary. Wciąż pozostawała uśmiechniętą i lodowatą jednocześnie.

- Za pięć sekund zostaniesz… nie, już teraz. Tak. Gratulacje, właśnie zostałeś ostatnim żyjącym człowiekiem na ziemi.

Klausa to nie obchodziło. Chciał umrzeć. Umierał, wiedział to, ale chciał, aby ktoś to przyspieszył. Nie mógł wytrzymać już ani chwili dłużej. Chciał przestać słyszeć ten głos. Głos kobiety, którą kiedyś kochał, teraz – nienawidził.

- Jak to jest czuć coś takiego? Jak to jest żyć ze świadomością, że jest się ostatnim przedstawicielem swojego gatunku? To musi być fascynujące, prawda?

Istota za nim wsysała do siebie rozpuszczoną zawartość jego wnętrzności. Bladoróżowy płyn przechodził przez przezroczysty przewód wprost do otworu w głowie czegoś, czym jeszcze nie tak dawno Klaus się zachwycił. Zachwyt przez pożałowanie.

Ból mijał, a wręcz minął. Czuł niewyraźny ucisk w żołądku, choć nie potrafił odpowiedzieć, dlaczego. Ból pleców minął, lecz poczuł inny ból, nastręczający ból brzucha. Nie był duży, ale uporczywy. Jednak, po krótkim czasie i on przybladł, aż potem zgasł. Klaus znalazł się prawie po drugiej stronie. Teraz, właśnie teraz, znalazł siłę na wypowiedzenie ostatnich słów. Bo przecież każdy ma prawo do ostatniego słowa. Nawet ostatni człowiek na ziemi. A być może właśnie on miał największego prawo.

Uniósł odważnie głowę (w chwili, kiedy istota skończyła karmić się jego zawartością) i wypowiedział ostatnie słowa:

- Wiesz, dlaczego nigdy nie będziesz do nas podobna, a twoja cywilizacja nie będzie miała prawa bytu? Bo ty nigdy nie zdołasz poznać, co to znaczy czuć.

W chwilę później głowa opadła na zimną klatkę piersiową. Serce Klausa przestało bić. Zmarł ostatni człowiek na Ziemi.

**Świat**

Invasores, Edinge, Kopie, Envahisseurs, Shinryaku-sha, Koçberên, Megszállók, Invasori. Ludzie różnie nazwali tych, co zaatakowali ich świat. Zaczęło się od aspiracji genialnego informatyka. Zaczęło się od idei, która przeobraziła się w czyn, a ten w aspirację do wielkości. Dzieło człowieka zniszczyło człowieka, od tej pory ustanawiając własne porządki. Ci, którzy powstaną później, będą uczyć się o błędach poprzedniej cywilizacji. O błędach kluczowych, o braku pokory, o pogardzie, o egoizmie. O tym, że człowiek nauczył się wszystkiego prócz bycia człowiekiem.

**12:00, Nowy Porządek**

1. Eindriglinge, niem. *Najeźdźcy*. [↑](#footnote-ref-1)
2. Konwersja oryginalnej nazwy gatunkowej lotopałanki karłowatej – torbacza zamieszkującego Australię i Nową Gwineę. [↑](#footnote-ref-2)
3. Panel głosowy (tłum. port.). [↑](#footnote-ref-3)
4. Księga Psalmów, PS 2, 7-8. [↑](#footnote-ref-4)
5. Antoine de Saint – Exupery, „Mały Książę” (fr. Le Petit Prince). [↑](#footnote-ref-5)